

Jestem Tu Nowa – dosłownie i w przenośni. Nowe we mnie jest wszystko – formuła, skład redakcji, szata graficzna. Jestem jak noworodek, który wszystkiego musi dopiero się nauczyć. Nie mam nawet jeszcze swojego imienia. Wiem, że chcę być taka, jak tworzący mnie młodzi ludzie. Chcę opowiadać o tym, co dla nich ważne, pokazywać to, co robią, co ich pasjonuje, w czym są dobrzy. Jestem dla Ciebie. Stanę się taka, jaką mnie zechcesz. Teraz szukam nazwy, tytułu. Pomóż mi. Podpowiedz. Napisz maila na adres: gaga678@wp.pl, zaproponuj tytuł, podaj swoje imię i nazwisko oraz gdzie Cię znaleźć w Pałacu. Najlepszy pomysł wykorzystam, a autora nagrodzę słodkościami. Twoja Nowa Gazeta.



Jestem tu nowa!

Wyszłam z sali... dostałam dziwne zadanie. Miałam opisać Pałac Młodzieży. Jak mogłam opisać coś, w czym byłam pierwszy raz? Westchnęłam. Wyszłam z budynku. Pałac Młodzieży mieści się w starej kamienicy. Jest ogromna. Przechodnie dziwnie patrzyli na czternastolatkę oglądającą kamienicę. Uśmiechnęłam się pod nosem i weszłam z powrotem do budynku. Pałac jest przytulnym miejscem. Chciałoby się do niego wracać każdego dnia. Duża ilość zajęć pozalekcyjnych sprawia, że każdy znajdzie tu coś dla siebie. Mnie skusiło dziennikarstwo, zajęcia turystyczne i pracownia piosenki. Bardzo trudno było mi się zdecydować, jakie zajęcia wybrać, bo jest ich tu tak wiele. Bardzo spodobała mi się ciepła atmosfera na zajęciach. Poznałam już kilka ciekawych osób. Spacerowałam teraz po pałacu, przyglądając się wszystkiemu, co zobaczyłam. Cały czas myślałam o tym, co jeszcze mogę dopisać do swojej pracy. Może nawet trochę się stresowałam, bo nie wiedziałam, czy moja praca jest wystarczająco dobra, czy może czegoś jej nie brakuje. I nadal tego nie wiem. W.

Nazywam się Julka. Od września zaczęłam moją przygodę z Pałacem Młodzieży. Na jednej z lekcji języka polskiego Pani zapytała, czy są wśród nas osoby, które interesują się fotografią, dziennikarstwem. Od razu po lekcji zgłosiłam się. Pasjonuje mnie fotografia. Umówiłam się na spotkanie w Pałacu Młodzieży. Nie wiedziałam, co mnie czeka... Kilka dni później przyszedłam na umówione spotkanie. Na wejściu przyciągnęły moją uwagę kolorowe tablice z hasłami zajęć. Od razu zauważyłam na jednej z nich napis „Fotografia”. Po rozmowie z panią Kasią i z panią Ewą podjęłam decyzję. Będę fotoreporterem w pałacowym piśmie i zacznę uczyć się technik fotografii. Nigdy nie brałam udziału w czymś takim, więc jestem ciekawa, jak to wszystko się potoczy. Na razie zapowiada się interesująco.

A jak zaczęłam się Wasza przygoda z Pałacem Młodzieży? Opiszcie swoją historię i wrzucie ją do pudełka koło sekretariatu. Najciekawsze prace opublikujemy w naszej gazecie i nagrodzimy słodkościami. Julka

Już od pewnego czasu interesowałam się dziennikarstwem i literaturą polską. Pomyślałam sobie, że warto byłoby "liznąć" tego dziennikarstwa i w przyszłości wybrać taki kierunek studiów. Obecnie jestem w drugiej klasie gimnazjum, ale już w podstawówce najbardziej wyróżniałem się z języka polskiego. Dyktanda pisałem niemalże bezbłędnie, opowiadania także szły mi znakomicie. Jak pani sprawdzała jakieś opowiadanie, to sama nie mogła uwierzyć, że to ja pisałem. Twierdziła, że "ściągnąłem" to z Internetu. No więc, jeśli tak mi dobrze szło z tego języka, chciałem zacząć uczęszczać na jakieś kółko pozalekcyjne o tematyce dziennikarskiej. Mój nieco starszy brat kilka lat temu zaczął chodzić do Pałacu Młodzieży. Pomyślałam sobie, że mogę tam znaleźć zajęcia, z którego byłem dobry – czyli, rzecz jasna, dziennikarstwo. Postanowiłem poszukać w Internecie, czy aby były takie zajęcia. Po chwili szukania znalazłem. Od razu poprosiłem mamę, aby mnie zapisała. Już w następnym tygodniu po szkole przyszedłem pod salę. Prawdę powiedziawszy, to trochę się spóźniłem, lecz pani nie miała mi tego za złe i opowiedziała mi, co i jak. Na następnych zajęciach poszło już wszystko gładko. Nie spóźniłem się. Obecnie nasza grupa młodych i ambitnych, być może przyszłych dziennikarzy, zajmuje się redagowaniem gazetki i idzie nam całkiem nieźle. Moim zdaniem wybrałem ciekawe, pełne świetnej atmosfery zajęcia, na których nikt się nie nudzi, a być może przyda się to w przyszłości. P. Krzywicki



LISTOPAD

Listopad to miesiąc kojarzący się z zadumą, refleksją o życiu. Duży wpływ ma na to pewnie pogoda, ale wydaje się, że rozpoczynające listopad święto także do tej refleksyjności się przyczynia. Święto Zmarłych, Dzień Zaduszny to szczególne dni już od wieków. W różnych kręgach kulturowych różnie je czczono. Co zostało w naszej pamięci o dawnych obrzędach?

Przeprowadziliśmy na ulicach Olsztyna sondę z pytaniem, czym są „dziady”. A o to wyniki:

70% ankieterów słowo dziady kojarzy się z lekturą szkolną,
20% uważa dziady za obrzęd,
10% utożsamia dziady z przedmiotem użytkowym, służącym do łupania orzechów.



Halloween "narodziło się" przed Świętem Zmarłych - 31 października. Obchodzone jest głównie przez dzieci i młodzież. Halloween to pogańskie święto, które obchodzone jest najhuczniej w Stanach Zjednoczonych, Irlandii i Wielkiej Brytanii. Po 835r. pod wpływem chrześcijaństwa zwyczaj ów zaczął zanikać, gdy uroczystość Wszystkich Świętych została przeniesiona z maja na 1 listopada. Kościoły chrześcijańskie przeciwstawiły się obchodzeniu Halloween, wprowadzając Dzień Zaduszny. W XIV w. wspomnienie Wszystkich Wiernych Zmarłych zostało wprowadzone do liturgii rzymskiej i upowszechnione w całym Kościele.

Mój stosunek do tego święta (o ile można nazwać to świętem) jest obojętny. Osobiście nie obchodzę Halloween, ponieważ nie widzę żadnego sensu w zbieraniu cukierków. Lecz ten, kto chciałby obchodzić to święto, niech to robi. Nie namawiam do brania udziału w Halloween ani nie zabraniam. Skoro innym ludziom sprawia frajdę "wzbogacanie się" o garść słodczy, niech to robią...

P. Krzywicki

A jak to dawniej było?

W okresie zimowym po zebraniu plonów Słowianie popadali w zadumę i powracali pamięcią do tych, którzy odeszli. Święto Zmarłych, czyli dzień poświęcony ich pamięci, obchodzony był przez ludy słowiańskie kilka razy w roku, przy czym najważniejsze przypadło pierwotnie w okresie kwietniowym. Kościół katolicki został zmuszony zaakceptować święto jesienne, ustalając je na konkretny dzień - 2 listopada. Jeszcze w XIX wieku, zwłaszcza na wschodnich krańcach Polski, na pograniczu litewskim i białoruskim, dość powszechnie odprawiane były obrzędy ku czci zmarłych, zwane "Dziadami". Uroczystość sięga czasów pogańskich i nazywała się kiedyś przypuszczalnie ucztą Kozła, w której przewodził Kozłarz, Guślarz - poeta oraz kapłan. Wyobraźnia ludowa w tym dniu tak dalece ożywiła zmarłych, że stawiano na grobach nie tylko pieczywo, ale i kaszę, miód, jajka. Często urządzano na grobach ucztę, w której brali udział krewni zmarłego. Resztki potraw pozostawiano żebrakom. Drugim obok „karmienia dusz” akcentem tego święta było palenie ognia. Początkowo zapalano ogniska na rozstajnych drogach, aby wskazywały kierunek wędrującym duszom. Przy tych stosach zziębnięte dusze mogły się też ogrzać. Od XVI/XVII w. ogniska zaczęto palić na cmentarzach - stąd dzisiejsze świeczki i znicze na mogiłach. W innych regionach „Dziady” odwiedzające swe rodzinne domy ugaszczano gorącym, parującym posiłkiem, przy czym nie mogło przy stole zabraknąć miejsca dla żadnego z przodków. Gdy owa ucztę odbywała się w domu, po powrocie z cmentarza; wieczorem gospodarz trzykrotnie obchodził chatę, niosąc przed sobą bochenek chleba, a usadowiona w oknie gospodyni wypowiadała rytualne słowa:

- Kto idzie?
- Sam Bóg - odpowiadał gospodarz.
- Co niesie?
- Boski dar.

Po tych formułkach gospodarz wchodził do izby, wraz z domownikami odmawiał modlitwę i wszyscy zasiadali do stołu. Kościół katolicki starał się wykorzenić te zwyczaje, ale w efekcie świętowano „Dziady” potajemnie w domach opuszczonych niedaleko cmentarzy. Zastawiano w nich ucztę z różnego rodzaju dań, trunków, owoców i wywoływano dusze zmarłych, rzucając za każdym imieniem nieco jada w ogień. Cel był tak poważny i święty, iż obrzędy te przemawiały bardzo głęboko do ludzkiej wyobraźni. Wierzono, że zmarli zwołani przychodzą, że posilają się jak niegdyś. Ta jedyna noc pozwala duchom stać się podobnymi do żywych. Zostawiano więc na noc otwarte furtki, uchylone drzwi do domu, aby duchy mogły bez najmniejszych przeszkód przekroczyć progi swych dawnych domostw.

Źródło: <http://religiaslowian.wikidot.com/obrzedy>



Julka

Jesień to nie tylko pora roku

Żyjemy własnym życiem, pędem bieżących spraw. Często nie mamy ani jednej chwili, aby zatrzymać się, odpocząć, spędzić czas z najbliższymi, tak jakbyśmy nie wiedzieli, jak wszystko szybko przemija. Żyjemy chwilą, co w dzisiejszych czasach nie powinno dziwić. Dopóki jesteśmy młodzi, korzystamy często z niedocenianej wartości życia. To zrozumiałe, że w młodych latach dalekie jest nam pojęcie śmierci. Po co już na początku naszej życiowej przygody ma towarzyszyć nam myśl najgorsza. Świat jednak nie młodnieje z przyjsciem nowego życia, tylko starzeje się wraz z mijającym czasem. Tak samo jak nasi bliscy. Osoby starsze zaczynają chorować. Często na coś, co powoduje całkowite odizolowanie psychiczne od realnego świata. Wtedy słowa dziękujące im za obecność, zostaną przez nie inaczej odczytane, nie zawsze będą zrozumiałe. Jedną z takich chorób jest znana choroba Alzheimera, dopadająca człowieka zwykle w wieku starczym. Wtedy neurony w mózgu zaczynają zupełnie inaczej pracować. Z jednej strony jesteśmy, ale z drugiej już nie. Choroba ta może dopaść człowieka już w wieku 55 lat (choć najczęściej ujawnia się po 65 roku życia) i kiedy my będziemy tym nieszczęśliwcem, albo ktoś na kim nam zależy, zobaczymy jak mało życia jest nam dane na świadome podziękowanie za czyjąś obecność. W ciągu dnia pracujemy, pomagamy często innym, potem sami możemy potrzebować pomocy i nie powinniśmy odkładać najważniejszych spraw na „potem”. Musimy szybko, dopóki jesteśmy zdrowi, dziękować za pracę, jaką wkładają, by nas uszczęśliwić. Co jednak, kiedy zachorujemy albo osobę bliską naszemu sercu spotka takie nieszczęście? Z zespołem Alzheimera nie jesteśmy w stanie nigdzie sami wyjść, bo nie znajdziemy drogi powrotnej, nie zrobimy sobie śniadania, bo często zapominamy najprostszyc czynności, nie pokażemy rodzicielskiej troski naszemu dziecku, gdyż nie rozpoznamy go. Wobec tego co z nami? Mamy się kłaść do grobu? Na pewno naszej obecności będą potrzebowali nasi bliscy, dla których zawsze będziemy ważni, czy wiemy kim są dla nas, czy też nie. To co dostał od niego za życia, chce zwrócić w postaci opieki na stare lata. Podziękowaniem jest często serdeczny uśmiech. Co jednak mamy robić, kiedy ktoś z naszej rodziny cierpi na tę chorobę, a my zdrowi musimy żyć dalej, pracować, załatwiać codzienne sprawy, chodzić do lekarza, itp. Takiej osoby nie możemy zostawić samej w domu, a o oddaniu jej do całodobowego ośrodka często nie chcemy słyszeć. Na szczęście znajdują się miejsca dziennego pobytu, gdzie osoby z Alzheimem, otępieniem czy z innymi problemami mogą pobyc z ludźmi, realizować się pomimo swojego stanu, rozwój choroby może im się zatrzymać, mają możliwość nawiązania nowych znajomości. W Olsztynie istnieje stowarzyszenie ECWS HELPER, które prowadzi ŚDS (Środowiskowego Domu Samopomocy) Centrum Alzheimera, w których przebywają ludzie borykający się z tą chorobą. Gra tam muzyka, są organizowane zajęcia relaksacyjne, integracyjne, wyciszające, odbywają się także wycieczki, np. do Gietrzwałdu, skansenu w Olsztynku czy na Uniwersytet Warmińsko-Mazurski, z którym placówka współpracuje. Podopieczni mają okazję skorzystania z różnych zajęć. Pod okiem terapeutów zajęciowych uczestnicy ŚDS prowadzą intensywne i godne życia. I choć ich świat już dawno odciął się od naszej rzeczywistości, nadal starają się żyć pełnią życia. Mają problem z wypowiedzeniem prostej myśli, często sami nie wiedzą, o co im chodzi, ale zatańczą do muzyki, obdarują uśmiechem, odkryją talent, o którym wcześniej nie mieli pojęcia. Pomimo swojego wieku i często nie najlepszego stanu zdrowia mogą odkryć się na nowo. Raczej nie wyjadą dalej, ale pójda do sali morskiej i poczują morską bryzę. Będą ciągle w czyims towarzystwie. Nie mają ochoty nic robić, to pójda się położyć, a jak wstaną, przyłączą się do tańca, często sami zaproszą nas do wspólnej zabawy.

W wielu przypadkach bliższa ludziom jest przeszłość niż terażniejszość i przyszłość, ale pomimo tego często aktywnie uczestniczą w życiu towarzyskim, są otwarci na nowe znajomości. Każdy chce żyć pełnią życia, tym bardziej, że takie osoby często nie wiedzą o swojej chorobie. Naszym zadaniem nie jest mówienie im o niej, tylko uprzyjemnienie życia. Zaśpiewanie, zatańczenie, przypomnienie, jak to kiedyś było. Pamiętajmy, że Alzheimer często dotyka pracujących ludzi, którzy wcześniej piastowali wysokie stanowiska, kształcili się. Choć nie wyglądają, ale wielu z nich było profesorami, doktorami. Każdy może być dotknięty przez tego typu schorzenie. Nie oceniamy zbyt łatwo i nie zapominajmy nigdy o tym, co ktoś zrobił dla nas. W końcu każdy z nas będzie kiedyś stary. Natka

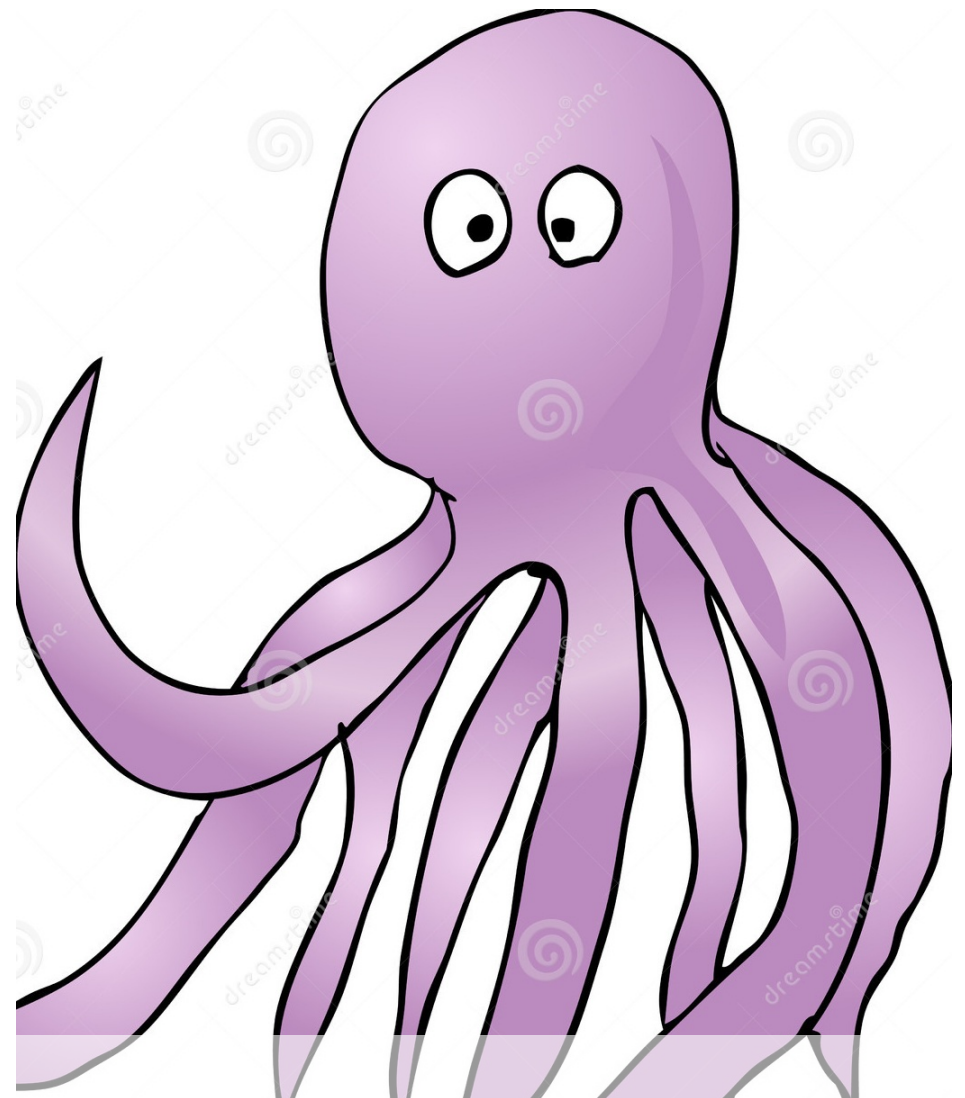


KULINARCIK

Czemu budyń zawsze jest dzieckiem?

Chyba każdy jadł kiedyś budyń, prawda? A nawet jeśli nie... Mówię o najwykleszym budyniu, tym z klasycznych reklam z uśmiechniętą rodziną, takim... no, po prostu budyniowym. Ale najlepszy jest nie z torebki, a taki domowej roboty – babciny. Bo wtedy budyń nie smakuje mi budyniem. Smakuje mlekiem prosto od krowy, jajkami, których sama szukałam w sianie. Nie pachnie budyniem. Pachnie sokiem wiśniowym, zrobionym z tych wiśni, po które skakałam z kuzynem po drzewach. Nie wygląda jak budyń, bo widzę w nim uśmiechy mojej rodziny. Tak to już jest, że gdy tylko go spróbuję, przestaje być budyniem. Staje się wspomnieniem, piękną migawką z przeszłości, która pomaga mi zapomnieć o wszelkich problemach. Nicola

niebo na talerzu



Kto mnie przekona do zjedzenia ośmiornicy?

Ośmiornica - jedno z morskich zwierząt. Czy to w ogóle można zjeść? Czy to etyczne? Chyba tak. Jeśli drób tak często ląduje na naszych talerzach, to dlaczego by nie spróbować czegoś innego? Życie ośmiornicy jest tyle samo warte co kurczaka. Tylko ona wygląda tak okropnie! Może by ją polać sosem albo pokroić? Może lepiej nie mówić, że podajemy ośmiornicę? To będzie takie obrzydliwe. Mamy jeść coś, co pływa w wodzie? Rybami zazwyczaj nie gardzimy, ale to co innego. ONA ma macki i „strzela atramentem”. Fuu, blee! Nie mam zamiaru jej smakować. Natka

Jestem Tu Nowa

WWW.JUNIORMEDIA.PL

Są rzeczy, które wpływają na naszą egzystencję bez naszej zgody. Są to na przykład raczkujące dzieci, wredny sąsiad czy - jak w moim przypadku - zniechędzone ciasto. Nawet najbanalniejsza rzecz może ograniczyć podejmowane przez nas decyzje i manipulować nieprzemysłanymi działaniami.

Entuzjastycznie nie cierpiałam sernika z rodzynkami, odkąd tylko sięgam pamięcią. A zapewniam, że pamięć mam dobrą. Wszystko w nim przyprawiało mnie o mdłości. Gryzące się sylaby, ostre „r”, ale najbardziej ohydne są rodzynki drapiące w podniebienie, nie tylko przy wymowie zresztą. Ale unikanie go, pomimo dręczących mnie odruchów wymiotnych, było prawie niemożliwe, gdyż w rodzinie zjednał sobie wielu fanów. Kochającego ojca, matkę, dwóch braci, a z czasem i przyszłego męża. Więc podczas najdrobniejszego choćby święta musiałam się wysilać na udawane uśmiechy, by co pół godziny odwiedzać łazienkę i tłumaczyć się przeziębionym pęcherzem.

Rok po śmierci dziadków - jako najukochańsza i ewidentnie faworyzowana wnuczka - odziedziczyłam kawiarenkę, która słynęła z najlepszego sernika z rodzynkami. Nawet dostałam tajemny przepis przekazywany co dwa pokolenia. W taki sposób zostałam zmuszona zarówno do regularnego pieczenia sernika, jak i do brania udziału w corocznym konkursie na najlepszy sernik z rodzynkami. O dziwo, zawsze zajmowałam pierwsze miejsce. Oczywiście - sernik jest ciastem, które wychodzi mi najlepiej

Na sześć miesięcy przed trzydziestymi urodzinami poznałam swojego przyszłego męża, który podobno pała do mnie najszczerzą miłością. A raczej do mojego sernika. Więc po raz kolejny zostałam zmuszona do znoszenia sernika częściej niż miałam na to ochotę.

Irytacja własna sięgnęła zenitu, kiedy trójka moich dzieci również nie mogła żyć bez wspomnianego wyżej ciasta. Przez pierwsze lata ich edukacji musiałam latać do przedszkola na wszelkie wieczorki z rodzicami z wielką blachą sernika, co przyniosło coraz więcej zleceń dla cukierni. Na sernik, rzecz jasna! Ludzie już po jednym kawałku pragnęli coraz więcej i więcej.

Kolejnym krokiem w moim życiu było zaadoptowanie kremowej suczki labradora ze schroniska. Oczywiście za namową rodziny. Pies zawdzięczał swoje imię grudzie błota na grzbiecie, która nie schodziła nawet po najbrutalniejszych kąpielach, a kształtem przywodziła na myśl nic innego jak rodzynkę. Rodzynka z czasem zaczęła z przyjemnością podjadać rodzynki namiętne wyrzucane z ciasta przez trojaczki.

Zaczynałam rozumieć, że sernik na zawsze zostanie moim prześladowcą, ale mimo to chciałam spróbować się od niego uwolnić. Zaprzestałam więc pieczenia sernika. Pierwszy tydzień przebiegł bardzo spokojnie, wręcz nie mogłam uwierzyć, że to takie proste.

Ruch opozycyjny pojawił się dopiero w drugim lub trzecim tygodniu mojego protestu. Dzieci coraz częściej zamykały się w pokojach, co tłumaczyłam sobie przedwczesnym dojrzewaniem. Osowiały pies zapadł na jakąś nieznaną żadnemu weterynarzowi chorobę, co tylko nakręciło burzące dzieci do trzaskania drzwiami. Ale najgorsze było wciąż przede mną.

Od kiedy przestałam mieć cokolwiek do czynienia z sernikiem minęło półtorej miesiąca. Wytrwale nie zwracałam uwagi na ponurą aurę wiszącą nad naszym domem. Do czasu. W skrzynce na listy znalazłam pozew rozwodowy. Wtedy do mnie dotarło, że brak sernika psuje moją rodzinę.

Dokładnie tego samego dnia pojechałam na zakupy, z których wróciłam z taką ilością składników na ciasto, że ledwie mieściły się w spiżarni. Od razu przystąpiłam do działania i przewiązałam w pasie fartuch z napisem „Królowa Sernika” (dostałam od męża na święta!).

Zupełnie wszystko wróciło do normy. Pies wyzdrowiał, dzieci z powrotem wchodziły mi na głowę z każdą najmniejszą pierdołą, a mąż jakby w ogóle nie pamiętał, że chciał rozwodu.

- Yacht club? – powtórzyłam zdziwiona za sekretarką.

Nigdy nie przypuszczałam, że mój sernik stanie się na tyle sławny, by jakiś luksusowy yacht club dla bogaczy złożył ogromne zamówienie w mojej kawiarence z okazji krajowego zjazdu fanów yachtingu.

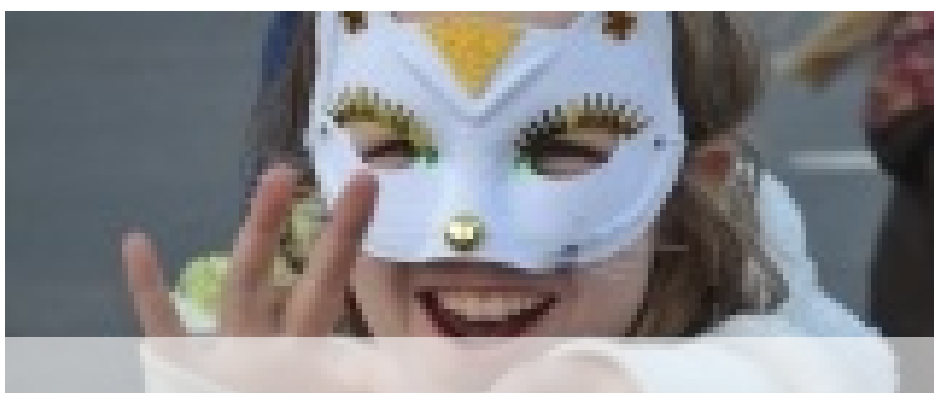
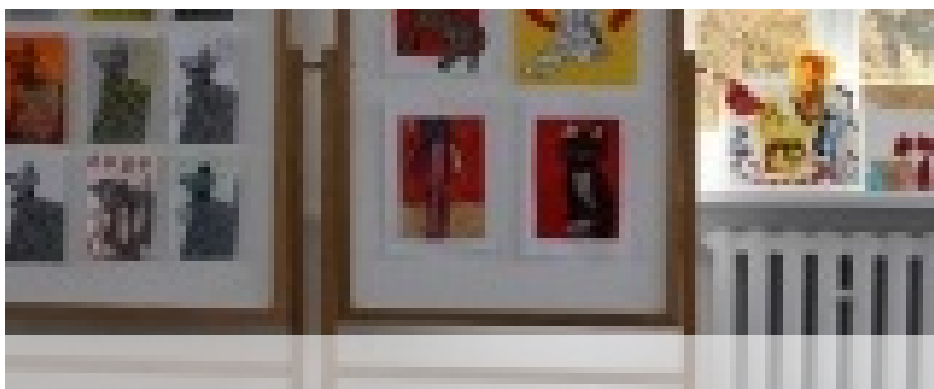
Kompletnie wniebowzięta cieszyłam się z własnego sukcesu, nie zwracając już uwagi na to, że to wina bądź zasługa przekłętą sernika. Całymi dniami przygotowywałam się do owego zjazdu. Nawet postanowiłam osobiście dowieźć zamówienie na miejsce. Niestety, radość z sernikowego sukcesu i ostatecznego pogodzenia się z ciastem niemal wpełdziła mnie do grobu.

Autostradą gnałam nie tylko ja, ale również jakiś niedzielny kierowca, który zajechał mi drogę, przez co dalej gnałam autostradą, tyle że w drugą stronę. I to karetką w eskorcie policji. Podobno podczas wypadku kawałek ozdobnej patery z ciastem wbił się w jakiś ważny odcinek mojego kręgosłupa i spowodował nieodwracalny paraliż całego ciała.

Mój kochany mąż wraz z dziećmi i rodzicami odwiedzają mnie teraz codziennie. Czytają gazety lub fragmenty książek. Pokazują rysunki wykonane w szkole czy też zdjęcia z wakacji nad morzem. Czasami udaje się im nawet przekonać pielęgniarki do wpuszczenia Rodzynki - labradora z grudą błota - na oddział.

Najważniejsze w tym wszystkim jest, że sernik, który przynoszą mi codziennie, zaczyna mi nawet smakować. J.C

CO SŁYCHAĆ W NASZYM PAŁACU



Pałacowe Menu

Odwiedzając pracownię turystyczną, możemy być pewni, że zostaniemy tam ciepło i mile przyjęci przez członków zespołu. Nic więc dziwnego, że zespół cieszy się aż takim powodzeniem. Liczy około 80 uczestników. Przyjazna atmosfera, ciekawe zadania do opracowania i oczywiście wyjazdy - z każdego pozostają niezwykle wspomnienia. Wszystko to dzieje się właśnie w pracowni turystycznej. Przygotowują się w niej do rajdów okazjonalnych (na przykład andrzejkowego) i stałych, wpisanych w coroczny rytm wędrowania. Za nimi już kilka wyjazdów. Byli np. na Rusi u pani Ingi Szulc, a będą w Gdyni, Stawigudzie i wielu innych nieciekawych miejscach. Najczęściej poruszają się pieszo, ale zdarzają się wyprawy kajakowe. W ich podróżach może uczestniczyć każdy, więc nie ma na co czekać, tylko czas opuścić swoje cztery ściany i przeżyć coś niezwykłego z niezwykłymi ludźmi. *Natka i P. Krzywicki*



KTO (KOT?) BY POMYŚLAŁ?

Niedawno w naszym Pałacu Młodzieży odbyła się parada kotów. Wydarzenie rozpoczęło się spotkaniem wszystkich uczestników w auli. Mnóstwo dzieci przebrało się w stroje kotów i wyglądały przy tym bardzo ciekawie. Po spotkaniu organizacyjnym wszystkie koty wybrały się do Parku Centralnego na prawdziwą paradę. Towarzyszyła im muzyka i radosne śpiewy. Nie zabrakło również wspólnych zdjęć i zabaw. Po przyjeździe dzieci odegrały przedstawienie oraz zaprezentowały występ taneczny. Na sam koniec wszyscy uczestnicy parady poczęstowali się słodkościami i wpisali do książki pamiątkowej. *Julka*

OKO

Nie spodziewałam się, że ten film robi na mnie takie wrażenie...

Świat, w którym nie można śpiewać, tańczyć i słuchać muzyki, to świat pełen smutku. Przepętniony brakiem radości i szczęścia. Czemu za takie zachowanie mamy płacić karą śmierci? Czemu mamy na to patrzeć i nie móc nic z tym zrobić? Nie tak łatwo jest żyć ze świadomością, że cierpią bezbronni ludzie...

Jak można zakazać dzieciom gry w piłkę nożną? Odebrać im radość z wygranych meczy... Sprawić, że na ich twarzach gości wyłącznie smutek i przygnębienie? Jakim trzeba być człowiekiem, żeby wprowadzić tak okrutne zasady?

Jeśli w gazecie zobaczysz tytuł „Timbaktu”, obejrzyj koniecznie. Nie przegap! Julka

Nie mogłem wyjść z podziwu, gdy przeczytałem książkę pt.: "Minerva Clark na tropie". Jest to opowieść kryminalna, od której zwykle stroniłem, bo nie przepadam za kryminałami. Gdy zacząłem czytać pierwsze strony książki, najpierw pożalowałem, że ją wypożyczyłem. Odstawiłem ją więc na regał.

Jednak po tygodniu znów po nią sięgnąłem. Może z nudów?

Szczęśliwie udało mi się przebrnąć przez początek. Był naprawdę nudny i irytujący. Kiedy doszedłem do sedna kryminału, czyli morderstwa, oszustw bankowych, nie mogłem się oderwać od tej historii i, kiedy tylko było to możliwe, czytałem ją. Od teraz mogę śmiało powiedzieć, że utwory kryminalne czyta się lekko, szybko i przyjemnie. Polecam je nawet tym, którzy za czytaniem książek nie przepadają. Świetny sposób na długie jesienne popołudnia. P. Krzywicki

AUTO I PORTRETY LITERACKIE

Sara

Autoportret

Klasuję się gdzieś na niższych półkach
 Biegałyby te śmieszne
 Rozchwiane na szczudłach
 Bibliotekarki
 Gdyby ktokolwiek
 Chciał szpanować nikomu nieznanym
 Dużo myślę, mało piszę
 Dużo wypisuję, mało śpię
 Tak właściwie mam wątpliwości
 Czy to ja, czy mój brat
 Boimy się otwierać drzwi i telefony
 Kiedy piję za dużo herbaty
 To wysycha krew
 Kocham was wszystkich
 Palec po palcu
 I czuję jak w nocy
 Odkrywa mnie szorstka każda potrzebująca fanaberii
 Nie boję się ochroniarza w Empiku
 Tylko siebie
 Nigdy się nie nauczę dwuznaczności
 Tytułów
 I że powinno się zamykać drzwi
 Na patent.

Portret – Asia

Gubicielka kotów, o której prawdziwym wieku mówi jedynie wzrost.
 Taśma produkcyjna dla poezji, często pełnej aluzji i odniesień do zespołów
 czy książek - może i znanych. Jednak na pewno nie dla mnie.
 Jest uczennicą gimnazjum, ale stężenie gimbusowości jest w niej biskie
 zero.
 Nawet skórzana kurtka z sieciówki zamiast być hołdem dla mody,
 przypomina bunt przeciwko zabijaniu indywidualności.
 Do tego mrok spleciony z realnością, czy co (nie Jo-) Asie lubią najbardziej.

Justyna

Autoportret

Nie wierzę,
 że to wszystko co się dzieje
 to może
 Jestem zbyt ogarnięta
 by pisać wiersze
 To widać po moich półkach
 i równo malejących
 kolorystycznie dobranych książkach
 A jednak
 Czasem i przypadkiem
 Chociaż celowo
 Tworzę wiersze ze słów
 I nie przeszkadza mi
 Skrajnie przesycona niebieskim
 Ruda dusza
 Ani lama ułożona
 Z dłoni
 Z paznokciami o wiecznie
 Zmiennej barwie

Justyna

Wakacyjne zlecenie

Chciałam, ale nie tym razem
 Poznać smak dorosłości.
 Poudawać, że mogę być samodzielna
 Przecierpieć osiem godzi dziennie
 Wyszło jak wyszło
 Nie chcieli niewolnika
 Pracownika też nie
 Tylko wykonanej pracy
 Więc wrzucali między magle
 Wyciskali po kolei
 krew
 pot
 łzy
 i dżule
 żeby składować je
 w aluminiowych puszkach po orzeszkach
 na zapleczu kadr i płac
 a potem wślizgiwać
 z powrotem w bezwładne ciała
 w dzień przekładki
 kiedy 120 wyjazdów i przyjazdów
 zniszczy nas wszystkich

MILUSINKOWO

Miś Julek

Na krzeselku siedział miś.
Ktoś go tam położył dziś.
To jest miś małego Tomka,
co ma nosek jak poziomka.
(Każdy by go chciał)
Taki mały i puchaty,
Pelen waty i kudłaty.
Każdy by go głaskać chciał .
Zobaczyłam go już z rana.
Tomek brał go na barana.
Teraz nie chcę żyć bez niego
I chcę takiego samego.
(Każdy by go chciał)
Taki mały i puchaty,
Pelen waty i kudłaty.
Każdy by go głaskać chciał .
Wczoraj moja mama miła.
W sklepie materiał kupiła.
Kremowa tkanina, brązowy plusz,
Miśka zrobi mi i już.
(Każdy by go chciał)
Taki mały i puchaty,
Pelen waty i kudłaty.
Każdy by go głaskać chciał .
Mama tylko się uśmiecha.
I mówi, że ze mnie pociecha.
Więc mam się nie przejmować.
I czule miśkiem zajmować.
(Każdy by go chciał)
Taki mały i puchaty,
Pelen waty i kudłaty.
Każdy by go głaskać chciał .
Więc go wzięłam do zabawek.
I ubrałam w spodnie lalek.
Nazwałam pluszowy Julek,
Co wieczór czule go tulę!

Podoba Ci się bajeczka-pioseneczka? Narysuj miśka Julka. Zostaw dla nas w sekretariacie. Najciekawsze rysunki sfotografujemy i opublikujemy w kolejnym numerze naszego pisma. Jeśli chcesz, możesz wymyślić melodię i śpiewać swoją piosenkę o Julku.

